



WERONIKA ŁOSIŃSKA

Warszawa, 23 października 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter, z udziałem protokolanta Haliny Wereńko, przesłuchał niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o znaczeniu przysięgi sędzia odebrał przysięgę, po czym świadek zeznała, co następuje:

Imię i nazwisko	Weronika Katarzyna Łosińska z d. Baszczak
Data urodzenia	30 kwietnia 1904 r.
Imiona rodziców	Józef i Honorata z Kozłowskich
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Targowa 4 m. 26
Zajęcie	handlująca obecnie, z zawodu chemiczka
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karałość	niekarana
Stosunek do stron	obca

Powstanie warszawskie 2 sierpnia 1944 roku zastało mnie na ul. Puławskiej pod nr. 5. Czwartego czy piątego dnia powstania, dokładnie nie pamiętam, Niemcy wyprowadzili mnie wraz całą ludnością, najprzód na plac Unii Lubelskiej, potem w aleję Szucha, na skwerku na rogu Alej Ujazdowskich, koło wykopanej studni. Tu Niemcy przeprowadzili segregację, ustawiając osobno cudzoziemców. Młode Polki zabierali na czołgi i całe kompanie w czwórkach pędzili na barykady jako zakładniczki, by osłaniały Niemców przed ostrzałem powstańców. Wiem o tym stąd, iż oficer niemiecki odczytał deklarację, iż na czołgach i w kompaniach kobiety idą jako zakładniczki.

Wszystkich mężczyzn Niemcy odłączyli od grupy, w której ja byłam, jeszcze na placu Unii Lubelskiej. Panowała wielka groza wśród nas, ja korzystając z popłochu, wywołanego faktem,

iz jedna młoda kobieta usiłowała się opierać i nie dać się zapędzić do czwórki, odłączyłam się od grupy polskiej, dołączając do grupy cudzoziemców. Tutaj podałam się za Ukrainkę, mimo iż na kenkarcie nie miałam znaku „U”. Powoływałam się na to, iż jestem urodzona w Galicji i że z domu nazywam się Baszczak. Wraz z grupą cudzoziemców zostałam odstawiona do domu przy ulicy Litewskiej 4, gdzie przedtem mieszkali Niemcy, a w danej chwili dom był pusty. Przebywałam tam dwa dni i wraz z innymi tam przebywającymi jadłam tylko to, co nam przynosili Kozacy. Na ogół panował głód, żołnierze nam oznajmiali, iż powinniśmy się zrewanżować za jedzenie i pójść do roboty. Wystąpiłam jako ochotniczka wraz z dwoma innymi kobietami, których nazwisk nie znam, ale które się podawały za Polki. Zostałyśmy zaprowadzone na roboty do gmachu koszar przy al. Szucha vis à vis Litewskiej. Robota polegała na tym, iż taczkami wywoziłyśmy z piwnic zgniłą kapustę i inne odpadki. Była to praca ciężka i rygor panował wielki, bez eskorty żołnierza nie wolno nam było się ruszać. Byli z nami przeważnie Rosjanie w niemieckich mundurach, Ukraińców nie widziałam. Drugiego dnia mojej pracy, a więc około 8 sierpnia, razem z dwoma kobietami, które ze mną przyszły pracować i jedną Polką, której nazwiska nie znam, ale która w tym gmachu stale pracowała, starsza osoba około 45 lat, blondynka, tęga, średniego wzrostu, byłyśmy na drugim piętrze w sali, gdzie się mieściła kozacka kuchnia. Zdarzyło się, iż żołnierza eskortującego z nami nie było.

(Świadkowi okazano szkic miejsca kaźni na terenie dawnego Głównego Inspektoratu Sił Zbrojnych). Na okazanym mi planie mogę określić, iż znajdowałam się w gmachu oznaczonym nr. 4. Polka stale pracująca w tym gmachu zawołała mnie i towarzyszki i powiedziała: „ – Chodźcie pokażę wam miejsce, gdzie zabijają Polaków”. Wyjrzałam oknem (jak mówiłam, byłam na drugim piętrze) i zobaczyłam sąsiedni budynek, którego okna parterowe zabite były deskami. Budynek ten był zburzony powyżej pierwszego piętra. Jest to budynek oznaczony na planie mi okazanym pod nr. 2. Jak widziałam, wnętrze tego budynku, obrzeżonego jak nadmieniłam murem, było uprzątnięte z gruzów i dół robił wrażenie podłogi. Pośrodku, w miejscu, gdzie na planie znajduje się krzyżyk, zobaczyłam stos trupów nagich mężczyzn i kobiet, zawalający całą tę salę tak, iż tylko z boku było przejście. Stos sięgał do pół piętra, trupy były ułożone do prawej ściany (w kierunku ściany oznaczonej nr. 3 na planie mi okazanym). Obok sali na placu SS-mani w letnich drelichowych ubraniach kręcili się i uprząтали jakieś deski i kłocce. Wtedy kobieta, która tam w alei Szucha stale pracowała, wyjaśniła nam, iż poprzedniego dnia widziała, jak Niemcy prowadzili Polaków już rozebranych czwórkami na plac w obrębie gmachu nr 2 i tam kazali im się położyć plackiem na ziemi. Następnie przyprowadzeni kolejno wchodzili na stos i tu byli rozstrzeliwani. Dzięki tak

prowadzonej egzekucji, stos był taki wysoki. Mówiła nam również, iż Niemcy co drugi dzień palą taki stos po polaniu jakimś płynem. Mówiła, iż ten stos, co my widzimy, będzie palony nazajutrz o godzinie 16.00, po zwolnieniu robotników z pracy. Nazajutrz, będąc w domu przy ulicy Litewskiej, widziałam popołudniu o godzinie 4.00 – 5.00 kłęby dymu wychodzące z tego podwórza.

Przed dniem, gdy zobaczyłam stos z trupami, pracując przy usuwaniu zgniłej kapusty w piwnicy znajdującej się w miejscu oznaczonym strzałką jako wejście w gmachu oznaczonym nr. 4 na planie mi okazanym, zauważyłam stos dokumentów, notesów, portfeli i notatek, lusterek, ołówków. Przejrzałam kilka paszportów i skonstatowałam, iż nazwiska były polskie, zauważyłam fotografię polskiego oficera z 1939 roku. Nazwisk tych obecnie nie pamiętam. W jednej karcie rozpoznawczej wyczytałam, iż chodzi o człowieka posiadającego dwa dyplomy. Nie mogłam sobie nic zapisać, ponieważ mnie obserwowano i sama nie byłam pewna, czy do wieczora dożyję. Po zobaczeniu stosu trupów więcej do roboty do kuchni kozackiej nie poszłam. Jeden dzień byłam na ulicy Litewskiej bez pracy, a nazajutrz poszłam obierać kartofle do kuchni niemieckiej, która mieściła się przed gmachem oznaczonym nr. (na planie mi okazanym). Przy alei Szucha pracowałam na parterze, skąd okna wychodziły na podwórko. Tutaj byli już sami Niemcy żołnierze i młode ładne Polki, które sobie wybrali niby do pracy oficerowie niemieccy, oraz około siedmiu robotnic stałych, ja jako Ukrainka i Rosjanka, która mnie wprowadziła, a która miała tam zaufanie. Nazwisk tych wszystkich osób nie znam.

Pierwszego dnia mojej pracy w tej niemieckiej kuchni widziałam, jak żołnierze niemieccy przyprowadzili grupę około 17 osób. Było około 10.00. Grupkę wprowadzono na podwórze, gdzie obierałam kartofle, i żołnierze zatrzymali się, ponieważ jakiś żołnierz zawołał, by ich przyprowadzić na śledztwo. Było to mówione po niemiecku, ja zrozumiałam, ponieważ znam ten język. Wprowadzono ich wtedy do sali na parterze, gdzie jacyś gestapowcy urzędowali. Jak się zorientowałam, nie było tam oficera, tylko *Leutnant*, który miał jedną patkę srebrną na naramienniku. Tak ważne śledztwo trwało parę minut, poczym grupa została wyprowadzona jak sądzę do ogródka, który się znajdował za podwórzem, na którym byłam, w kierunku Alei Ujazdowskich albo może do jakiejś sali. Po chwili posłyszałam salwę. W czasie, gdy się to działo, zbliżył się do volksdeutschki, która była naszą przełożoną przy obieraniu kartofli, gestapowiec ubrany w zielony mundur z brązowym kołnierzem i powiedział po niemiecku, iż dzisiaj już ładnych 300 mężczyzn rozstrzelano. W grupie, którą

widziałam, była tylko jedna kobieta lat około 22, poza tym jeden starszy inteligentny jak sądzę pan, a resztę stanowili młodzi chłopcy.

W ogródku, w którym rozstrzeliwano Polaków, sądzę, iż musiał być duży stos, ale co się tam działo, nie mogłam się dowiedzieć, ponieważ wstęp tam był bardzo surowo wzbroniony. Niemcy przy tym zaczęli mnie obserwować, musiałam być ostrożna, nawet przełożona moja voksdeutschka ostrzegła mnie, iż Niemcy mają mnie na oku. Słyszałam także, iż żołnierz niemiecki powiedział do swojej panny, iż Niemcy będą wśród pracujących u nich wyszukiwać Polaków, przestraszyłam się i więcej do pracy nie przyszłam.